

Biuletyn Serafickiego Dzieła Pomocy Misjom Nr 3(11)/2009



MISJE KAPUCYŃSKIE



Gabon - Gwatemala - Salvador - Turcja - Białoruś - Łotwa - Szwecja - Wielka Brytania

www.misje.ofmcap.pl



Spis treści

...	3	Obóz misyjny ze Świętym Pawłem	21
Br. Piotr Wrotniak		Marlena Siwek	
		Projekty Misyjne 2009	26
Gabońskie opowieści	4	Opowieści tropikalne (cz.2)	27
Br. Łukasz Woźniak		Br. Łukasz Woźniak	
Tumsifu Yesu Kristo	9	Serafickie Dzieło Pomocy Misjom	29
Ewa Łangowska			
Australijski entuzjazm	14	News	31
Br. Marcin Radomski			
Moje misje w Gwatemali...	17		
Br. Zbigniew Konopka			



800 lat temu młody człowiek z Asyżu nazywany bratem Franciszkiem wraz z 11 duchowymi braćmi udali się do papieża Innocentego III, aby otrzymać ustne zatwierdzenie ich Reguły. Od tego momentu rozpoczęło się prawne istnienie nowego Zakonu - Braci Mniejszych. Osiem ostatnich wieków historii Zakonu obfitowało w wiele chlubnych wydarzeń. Bracia Mniejsi zapisywali się w historii Kościoła wprowadzając do niego ducha franciszkańskiego. W tym czasie, w duchu poszukiwania wierności charyzmatowi Założyciela rodziły się nowe reformy tego sposobu życia. W XVI wieku wyłonili się Bracia Mniejsi Kapucyni, chcący powrotu do zachowywania ślubowanej Reguły tak, jak ją rozumiał św. Franciszek. Dzisiaj historia skłania nas do dziękczynienia za nasze początki i do tych początków w nowym duchu nas prowadzi. Osiem wieków zakonu franciszkańskiego to także historia misji, które początek swój brały od przykładu Założyciela udającego się z misją do niewiernych, budującego pomost dialogu między

światem chrześcijańskim i muzułmańskim.

W kolejnym numerze naszego czasopisma nie będzie opisów historii misji franciszkańskich, czy kapucyńskich, jednakże znajdziecie tu między innymi wspomnienia o początkach misyjnych w Warszawskiej Prowincji Kapucynów spisane przez naszego pierwszego misjonarza. Będą również artykuły dotyczące dzisiejszego zaangażowania w dzieło misyjne autorstwa zarówno braci Kapucynów, jak i świeckiej misjonarki. Będziecie również mogli przeczytać na temat organizowanego przez naszych braci w Turcji obozu misyjnego dla młodzieży z Polski. Zachęcamy do lektury i ożywiania w sobie ducha misyjnego. Dobrodziejom misji kapucyńskich niech dobry Bóg wynagrodzi za wszelkie ofiary na misje zarówno te duchowe jak i materialne.

Dr. Piotr Wroblewski

sekretarz misyjny

wraz z braćmi misjonarzami

GABONSKIE OPOWIEŚCI

CIOTECZKI

W kraju, gdzie nie ma zimy ani suszy i gdzie właściwie cały rok jest zielono i można zbierać bez przerwy różne owoce i dary natury, mieszkańcy nie mają potrzeby magazynowania żywności, budowania spichlerzy i piwnic. Poza tym tropikalny klimat bardzo szybko niszczy wszelkie produkty spożywcze, szybki jest proces gnicia, szybkie są także mrówki i inne owady gromadzące się prawie natychmiast przy pozostawionej na stole okruszynie chleba czy przy ziarenku cukru. Prawdopodobnie to było przyczyną tego, że Afrykańczycy z regionu lasów tropikalnych mają problemy z myśleniem o przyszłości i z robieniem jakichkolwiek oszczędności. W tradycyjnej afrykańskiej koncepcji czasu, przyszłość to maksymalnie kilka dni do przodu, liczy się bardziej to, co jest teraz lub daleka przeszłość zaludniona przez rzesze przodków. W językach lokalnych nie ma nawet określić na przyszłość dłuższą od tych kilku dni. Jeśli dorzucimy jeszcze życie w ciągłej niepewności, w zależności od sił natury, w ciągłym zagrożeniu życia przez choroby i niebezpieczne zwierzęta, to zrozumimy, dlaczego w Afryce warto cieszyć się dniem i nie myśleć, o tym, co może nam przynieść jutro.

Ponieważ przyzwyczajenia i mentalność zmieniają się powoli, w dzisiejszym świecie, gdzie operuje się pieniądzem Afrykańczyk ma wciąż problemy z takimi sprawami

jak oszczędzanie, podzielenie pieniędzy na cały miesiąc czy zostawienie sobie jakiejś sumy na nagłe przypadki. Pokusa wydania wszystkiego pierwszego dnia jest zbyt duża. Podobnie trudno jest zbierać przez kilka miesięcy pieniądze na jakąś większą inwestycję (dodatkowym zagrożeniem okazują się złodzieje i sama rodzina, przed którą ciężko coś schować w domu). Czasem ktoś przychodzi prosić, by przechować mu pieniądze na budowę domu i wypłacać etapami, gdy trzeba będzie zapłacić za cement lub żwir, bez ogródek przyznając się, że obecność tych pieniędzy w domu to ciągła pokusa wydania ich natychmiast na mało ważne rzeczy.

Jest jednak w Gabonie pewna instytucja, która pomaga, choć raz na jakiś czas, mieć konkretne pieniądze i spożytkować je dla dobra rodziny, chodzi tu o „Cioteczki”. Cioteczki to przyjacielska umowa kilkunastu pa (panowie też mogą, ale im trudniej o dyscyplinę), które pracują i dysponują miesięcznie jakąś sumą (najczęściej jest to 30 000 do 100 000 franków CFA, gdzie 3000 to dniówka niewykwalifikowanego robotnika). Cioteczki zbierają się co miesiąc i wpłacają do wspólnej kasy odpowiednią składkę, również co miesiąc jedna z cioteczek, według kolejki, otrzymuje tę wspólną kasę dla siebie. W ten sposób po kilkunastu miesiącach wpłat przychodzi chwila, gdy otrzy-



muje się do ręki dużą sumę pieniędzy, dzięki której można zrealizować swoje marzenia lub dokonać większej inwestycji. Cioteczka, która w danym miesiącu zabiera wszystko, zaprasza koleżanki do siebie i przekazanie pieniędzy dokonuje się w atmosferze imprezowej. W rejonie gdzie mieszkamy, nawet na wioskach, wiele osób zaangażowanych jest w „ruch cioteczkowy” i wszyscy są z tego powodu bardzo zadowoleni.

Ruch kołowy

Jak na możliwości finansowe kraju, Gabon ma słabą infrastrukturę związaną z transportem. Drogi są złej jakości, pełne dziur i najeżone niespodziankami typu brak pokrywy od studzienki lub odcinek kompletnie zalany wodą, która nie może odpłynąć zatkanymi odpływami. Jest oczywiście szeroka arteria w Libreville, lecz w pewnych godzinach całkowicie zakorkowana.



Samochodów jest za dużo jak na możliwości miasta, większość to stare Toyoty osobowe, sprowadzane z Europy, trzymające się na lakierze i drucikach. Najczęściej wozy te zarabiają jako taksówki, czyli praktycznie jedyny transport publiczny w stolicy. Jest oczywiście kilka autobusów, ale to kropla wody w morzu potrzeb, poza tym zbyt często

widzi się wraki tych autobusów na poboczu, spalone od jakiegoś zwarcia – to nie zachęca do podróżowania! Na ulicach Libreville widać całkiem dużą ilość tądnych i drogich samochodów prywatnych, co świadczy o tym, że jest to kraj dysponujący potencjałem finansowym i mieszkają tu ludzie naprawdę bogaci. Króluje oczywiście Toyota ze



swoimi terenówkami Prado, Land Cruiser i pick-upem Hilux, potem jest Mitsubishi, Mazda i Isuzu, ale części do nich są droższe od tych z Toyoty, więc ta ostatnia wygrywa. Libańczycy przywieźli do Gabonu modę na Hamery, a Chińczycy próbowali zabłysnąć swoją półterenówką na benzynę Gonow – to te samochody rozdawał prezydent przed re-

elekcją, ale okazały się za delikatne na afrykańskie drogi.

Ruch uliczny naznaczony jest dużą wolnością, każdy jeździ jak chce, rażące tamanie przepisów to codzienność, dzikie włączanie się do ruchu, wyprzedzanie na trzeciego i czwartego – to wszystko przyprawia przybysza z Europy o zawal serca. Bardzo często samochody są na granicy sprawności, jeździ się nimi aż do kompletnego zajeżdżenia. Wiele osób nie robi przeglądów technicznych, nie wymienia olejów, tylko dolewa paliwo i jeździ, co skutkuje krótką żywotnością pojazdów. Większość taksówkarzy to Nigeryjczycy i na oczy nikt z nich nie widział prawa jazdy, no chyba że podrobione. Dlatego głównym zajęciem żandarmerii i policji jest zatrzymywanie co chwila wszystkich taksówek i ściąganie haraczu. Policja zresztą jest utrapieniem kierowcy, zwłaszcza Białego, sprawdzają, co tylko się da, żeby móc się do czegoś przyczepić. Natomiast kierowanie ruchem jest ostatnią rzeczą, za którą się zabierają i bardzo dobrze, bo z reguły bałagan robi się jeszcze większy, skrzyżowanie jest sparaliżowane i trzeba dzwonić po żandarmerię francuską w obozie wojskowym, żeby przyjechała rozładować korek.

Niebezpieczniejsze od miasta są drogi wiejskie i jedyna wylotówka ze stolicy. Kierowanie samochodem polega na bacznej obserwacji dziur w asfalcie i na kompletnym braku zaufania do innych uczestników ruchu. Jazda w nocy to już kompletna udręka, mało który samochód ma wszystkie światła, często mają tylko jedno długie z prawej strony i tyle, samochody widma wynurzające się z mroku nie są rzadkością, a prawdziwym niebezpieczeństwem są pozostawione na brzegu drogi wielkie ciężarówki z balami drewna, które nie mają żadnego oświetlenia, nawet odbłaskowego i które zauważa się przed sobą w ostatnim momencie. Wy-

padków jest dość dużo i wiele z nich jest śmiertelnych, najczęściej giną pasażerowie busików-taksówek lub osoby siedzące na towarowej części pick-upów. Obserwując zachowania kierowców przewożących pasażerów nasuwa się przypuszczenie, że nie mają oni za grosz odpowiedzialności ani umiejętności przewidywania. Zdecydowanie jazda samochodem w Gabonie jest równie męcząca i denerwująca jak tutejszy tropikalny klimat.

Ofiary rytualne

Co jakiś czas w mediach gabońskich powraca temat składania ofiar z ludzi, a dokładniej z małych dzieci. Jest nawet wydana na ten temat specjalna książka jednego ze stowarzyszeń, które walczy z tą praktyką. W książce tej umieszczone są fotografie ofiar znalezionych w lesie lub wyrzuconych przez morze (w Europie takie zdjęcia by nie przeszły, ale tutaj media są bardzo realistyczne). Tragiczne w tym wszystkim jest to, że tych morderstw nie dokonują jacyś zabubienie w dżungli szamani, ani tak zwany ciemny lud pozbawiony edukacji i kontaktu ze światem, lecz ludzie wykształceni, zajmujący niekiedy wysokie stanowiska w aparacie państwowym. Oczywiście z reguły nie robią tego osobiście, ale zlecają taki mord i zamawiają pewne części ciała ofiary, które następnie się zjada lub z których wytwarza się specjalne fetysze (chodzi na przykład o wargi, powieki czy organy płciowe).

Dawniej składano w ofierze dzieci i zakopywano je w fundamentach nowego budynku, dziś dzieci giną, by zapewnić powodzenie i władzę zleceniodawcom. W Afryce Zachodniej ofiarami padają najczęściej dzieci albinosy, specjalne bandy włamują się do domu, ogłuszają rodziców i zabijają dziecko, często krojąc je na miejscu i pakując do worków, by potem sprzedać poszczególne organy

według zamówienia. W Gabonie w dawnych czasach najtrudniej było przeżyć bliźniakom, dziś każde dziecko jest zagrożone. Opowiada się nawet historie o samochodzie z przyciemnianymi szybami, który przejeżdża przez wioski blisko stolicy i porywa dzieci wracające ze szkoły. Rzeczywiście incydenty tego typu wzmagają się w okresach przedwyborczych, co potwierdza tezę, że ofiary zamawiane są przez polityków, w celu zapewnienia sobie reelekcji lub awansu politycznego.

Ostatnio przyszły do nas dwie kobiety prosząc o radę, pierwsza opowiadała, jak rodzina zabrała jej na ofiary trójkę młodszych dzieci, a teraz chcą żeby im oddała najstarszą córkę. Opowiadała o tym z taką swobodą, jak opowiada się o tym, że się coś kupiło lub o dzisiejszej pogodzie. Przyszła spytać się księdza czy ma im córkę dać czy lepiej nie, przeraziło mnie to, że gdyby ksiądz powiedział „Daj i już” to ona by dała, nie widząc w tym jakiejś tragedii. Myślę, że ona nie funkcjonowała już normalnie i rodziła to wykorzystywała.

Druga kobieta, bardzo młoda, przyszła przy okazji swojej wizyty u rodziny na wsi. Była w ciąży z drugim dzieckiem, które jej narzeczony chciał złożyć w ofierze. Obiecywał jej małżeństwo (a taka obietnica działa tutaj bardzo mocno), zabezpieczenie finansowe i wygody, żeby tylko zgodziła się oddać dziecko po porodzie. Jej narzeczony jest podobno ważnym dyrektorem w administracji państwowej i należy do Różokrzyżowców. Dość otwarcie mówi się tutaj, że tego typu organizacje, jak również sama Masoneria, mają w Afryce swoje specyficzne i krwawe oblicze, połączone z ideą składania ofiar z ludzi.

br. Łukasz Woźniak, Essassa



Tumsifu Yesu Kristo

Tyimi słowami, które z języka swahili na język polski można przetłumaczyć jako „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” witam Was drodzy czytelnicy. Tym artykułem chciałam podzielić się z Wami moimi „początkami” w zielonej Tanzanii.

Różnorodność świata jest tak wielka, że często trudna do ogarnięcia przez ludzki umysł. Polskie powiedzenie „podróże kształcą” trafnie oddaje to, co aktualnie przeżywam. Życie jest podróżą i każdy dzień uczy nas czegoś nowego. Przyznam szczerze, że ostatnio wiodę życie „odkrywcy i studenta” odkrywając i ucząc się życia w Tanzanii, dokąd wyjechałam w połowie lutego. Powodem wyjazdu było i jest moje powołanie misyjne, które powoli odkrywałam w swoim sercu. Przez dwa lata będę pracować na misji prowadzonej przez księży ze Stowarzyszenia Misji Afrykańskich w Bugisi. Oprócz księży SMA na misji pracują również Siostry OLA (Our Lady of Apostles), które prowadzą kli-

nikę oraz szkołę dla dziewcząt. Trzecia grupa tworząca wspólnotę w Bugisi, to misjonarze świeccy czyli ja i Jolanta Kazak, która uczy w salezjańskiej szkole średniej w Didia matematyki. Nauczyciele w Tanzanii są na wagę złota. W 2005 roku Narodowy Fundusz Walutowy wraz z Bankiem Światowym zaproponował Tanzanii umorzenie długów pod warunkiem, że część dłużnej im kwoty rząd Tanzanii zainwestuje budując szkoły. Tak też się stało i teraz kraj ten posiada ogromną ilość szkół podstawowych i średnich (w naszej parafii jest ich „tylko” 42). W jednej szkole może się uczyć od 400 do 1200 uczniów. Problem stanowi kadra nauczycielska, której po prostu nie ma. Sama odwiedziłam jedną ze szkół, w której 600 uczniów uczyło tylko dwóch nauczycieli. Nie wiem jak to jest możliwe, ale możecie sobie wyobrazić poziom i efektywność takiej lekcji.

Moim głównym zadaniem jest pomoc psychologiczna chorym, w szczególności spo-



sób chorym na AIDS. Choroba ta każdego dnia zbiera wielkie żniwo śmierci. Codziennie w naszej klinice pojawiają się ludzie, u których stwierdza się obecność tego wirusa. Chorzy na AIDS często po jego zdiagnozowaniu są wyłączeni ze społeczeństwa. Rodzina odwraca się od chorego bojąc się zarażenia. Ci, którzy najbardziej potrzebują wsparcia są jego pozbawieni. Odwiedzając chorych chcę ofiarować im to potrzebne wsparcie, zachęcić do podjęcia leczenia, pomóc im zrozumieć sytuację, w której się znaleźli i wspólnymi siłami „oswoić” strach przed chorobą. Praca z chorymi pokazuje mi kruchość ludzkiego życia. Uczy mnie by żyć dniem dzisiejszym, by żyć teraz, bo jutro i tak samo zatroszczy się o siebie. Patrząc na ich cierpienie jestem pełna podziwu dla ich pokory i akceptacji stanu w jakim się znaleźli. Nie ma w nich cienia pretensji za to że zachorowali. Wiem, że poprzez te spotka-

nia spotykam samego Boga, który jest obecny szczególnie w tych, którzy cierpią. Nie jest to praca łatwa, ale siłą czerpię właśnie ze swojego powołania misyjnego, z tego, że chcę to robić.

Gdy słyszymy słowo misje najczęściej nam się ono kojarzy z postugą księży, zakonników lub sióstr w odległych krajach. Coraz częściej na misje wyjeżdżają też osoby świeckie, które również są powołane do tej służby drugiemu człowiekowi. Najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że praca księży, sióstr i osób świeckich wzajemnie się uzupełnia. To, co mnie najbardziej zaskoczyło po przyjeździe do Tanzanii to ogromne przestrzenie tego kraju i zieleni dookoła. Tanzania jest prawie trzy razy większym krajem od Polski, a miesiąc luty w tym kraju to środek pory deszczowej dlatego na moje przywitanie wszystko dookoła kwitło i zieleniło się. Tanzanię zamieszkuje



około 120 plemion, z których najliczniejszą grupę stanowią ludzie z plemienia Sukuma. Są to ludzie, z którymi i dla których pracuję w Bugisi. O samych Sukuma jeszcze niewiele wiem, ale na głębsze poznanie ich kultury na pewno przyjdzie czas. To co jest znaczące dla nich to uprawa roli i hodowla bydła. Ich bogactwem są krowy, których wszędzie jest pełno. Stado tych wielkich zwierząt stanowi nie lada przeszkodę na drodze, a że wszystko w Tanzanii dzieje się w rytmie „polepole” (swahili - powoli powoli) to i krowy w tym tempie usuwają się z drogi. A skoro już o drogach mowa warto wspomnieć, że

często ich po prostu nie ma, szczególnie tych, które powinny prowadzić do wiosek należących do naszej parafii. Jestem pełna podziwu dla misjonarzy, którzy są w stanie dotrzeć do stacji dojazdowych bez mapy przecinając afrykańską sawannę, gdzie jedynym punktem odniesienia może być krzak lub drzewo. Dla mnie póki co wszystko w świecie tanzańskiej przyrody wydaje się takie samo pewnie dlatego, że wielu drzew czy krzewów nie znam. Jedyne co jestem w stanie odróżnić od innych gatunków roślin to potężne baobaby, no ale je trudno pomylić z czymkolwiek innym. W porze deszczowej



rzeki często występują z brzegów i zalewają te niby drogi wtedy dotarcie do wiosek staje się wręcz niemożliwe.

Pora deszczowa, to źródło życiodajnej wody, która szczególnie w tym rejonie Tanzanii jest na wagę złotą. Tutaj prawie nie ma wód gruntowych. Woda pitna to dar niebios spadająca w postaci deszczu. Na misji gromadzi się wodę w potężnych tankach. Dla mnie pierwszą lekcją życia na misji było jak oszczędzać wodę w codziennym użytkowaniu. My w Polsce nie zdajemy sobie sprawy ile zużywamy wody w ciągu dnia. Nie zwracamy na to uwagi, bo wystarczy tylko odkręcić kurek i woda popłynie. Tutaj

wodę trzeba czerpać wiadrami z tanku lub ją napompować do mniejszego zbiornika. Tu zanim wyleję wodę dwa razy się zastanowię czy nie mogłabym jej jeszcze do czegoś użyć no bo przecież woda po praniu idealnie nadaje się do sprzątania, a wodą z prysznicy można podlać ogródek. Ludzie na wioskach są jeszcze w gorszej sytuacji niż my. Oni nie mają zbiorników na wodę, bo ich nie stać na nie. Dla nich źródłem wody są małe jeziora, w których woda daleka jest od krystalicznej cieczy płynącej w naszych kranach.

Językiem urzędowym w Tanzanii jest język swahili. Jeden ze znajomych przed moim wyjazdem do Tanzanii powiedział mi,



Dlaczego rezygnuję z europejskiego standardu życia, opuszczam rodzinę i przyjaciół, a najlepsze lata młodości, które dziś ludziorzmi upływają na robieniu kariery czy zakładaniu rodziny, spędzam tysiące kilometrów od domu. Jak już wcześniej pisałam dla mnie jest to kwestia powołania. Jestem tu, bo jest to miejsce, do którego zaprosił mnie Chrystus. Każdego dnia dziękuję Mu za to, że usunął wszelkie przeszkody bym mogła się tutaj znaleźć. Jestem tu by poprzez moją pracę, radości, smutki czy trudności świadczyć o Bożej miłości do każdego z nas. Na pewno nie jestem tu by przeżyć przygodę życia, jestem tu by tego życia się nauczyć. Życia we wspólnocie z ludźmi z innych kultur. Jestem tu by pomóc tym, którzy tej pomocy będą potrzebowali i których Bóg postawi na mojej drodze i nawet jeśli będzie to tylko jedna osoba to wierzę, że właśnie dla tej jednej osoby Bóg chce mnie na tej tanzańskiej ziemi. I On zatroszczy się o mnie tutaj oraz będzie miał w opiece tych, których pozostawiałam w Polsce byśmy pewnego dnia wszyscy się znów spotkali. Waszej modlitwie polecam tych, do których postać mnie Bóg.

Tumsifu Yesu Kristo
Milele. Amina.

Ewa Łangowska

że chętnie by mnie odwiedził, ale nie zna angielskiego. Po czterech miesiącach mogę mu powiedzieć, żeby się tym nie przejmował, bo tu i tak prawie nikt nie mówi w języku angielskim... Każdy misjonarz po przyjeździe do tego kraju pierwsze miesiące poświęca na naukę języka swahili w szkołach językowych. Ja przez dwa i pół miesiąca próbowałam zgłębiać tajniki mowy głównego języka tego kraju i jedno wiem na pewno, że przede mną jeszcze sporo nauki zanim będę się czuła swobodnie podczas rozmowy z miejscową ludnością.

Wiele osób przed moim wyjazdem pytało mnie po co tak naprawdę jadę do tej Afryki?



Podczas, gdy Europa doświadcza jesiennej zadumy, po drugiej stronie Świata wiosna wyraźnie daje znać o sobie. Zima tego roku była łagodna. Porównując oczywiście do zimy w Europie. Bo jak na tutejsze warunki było zimno. Australia - kontynent niezwykle zróżnicowany i bogaty pod wieloma względami. Czasami ma się wrażenie, że dla przyrody czas się tutaj zatrzymał. Dziwaczna fauna i flora pozwala odczuć, że „era dinozaura” ciągle trwa. Od upalnej północy poprzez pustynny „środek” kończąc na zimnym stanie Victoria i Tasmania. Oto Australia. Kraj, którego ludność mieści się w 20 milionach. Zróżnicowanie kulturowe i narodowe. Polacy, Japończycy, Wietnamczycy, Hiszpanie, Irlandczycy...wymieniać można tak bez końca. Nawet Ci co się tu urodzili też pochodzą z jakiegoś innego kraju. Jedynie aborygeni są rdzennymi mieszkańcami Australii. Ale nie analiza geograficzno kulturowa jest celem tego tekstu, ale obecność Kapucynów na Ziemi Południowej. Historia obecności Kapucynów w Australii jest bardzo młoda i sięga czasów powojennych. Wielu braci przybyło do Australii z włoskimi migrantami. Tak powoli rozpoczęła się obecność Kapucynów. Nie brakuje też polskiego akcentu. Wielu braci Polaków bardzo pozytywnie zapisało się w historii kapucyńskiej obecności w Australii. Prowincja Australii została oficjalnie utworzona 17 września 1981 roku, kiedy to Ministrem Generalnym był br. Paschalis Rywalski a Definitorem Generalnym br. John Corriveau.

Obecnie Prowincja w Australii przeżywa bardzo ważny etap w swojej historii. Po wielu latach, aktualnie Prowincja bogata jest w powołania. W formacji początkowej postnowicjatu jest 10 braci, 2 postulantów, 3 nowicjuszy odbywających nowicjaty w Alison Park w USA oraz 2 braci przygotowujących się bezpośrednio do święceń prezbiteratu. Co daje razem liczbę 17 braci. Jak na Australię trzeba przyznać, że jest to duża



AUSTRALIJSKI



ENTUZJAZM

liczba. Trzeba przyznać, że Zakon Kapucynów w chwili obecnej w Australii jest Zakonem o największej liczbie powołań. Warto też wspomnieć, że są to młodzi ludzie od 18 do 34 roku życia. Co daje wiele nadziei na przyszłość. Dość często się zastanawiałem nad tym jak to się dzieje, że w kraju tak na wskroś laickim mamy powołania? Nigdy nie poruszaliśmy tematu sekularyzacji i jak zrobić aby się ustrzec. Doszedłem do jednej zasadniczej refleksji. Nigdy w pracy formacyjnej czy powołaniowej nie patrzyliśmy na przeszkody czy trudności ale patrzyliśmy na rzeczywistość pozytywnie. Wydaje się, że dziś świat jest wyjątkowo sfrustrowany i potrzebuje nadziei i pozytywnego patrzenia na świat. Duchowość franciszkańska daje tę nadzieję. Pozwala opowiedzieć na rzeczywistość w duchu wiary. Nie chodzi o to aby ignorować to, co się dzieje wokół nas ale aby z duchowości defensywnej przejść do duchowości ofensywnej. Św. Franciszek jak najbardziej miał to wycucie. Misja głoszenia Chrystusa. I to staramy się robić tacy jacy jesteśmy. Każdy z nas ma coś do zaofiarowania i jako wspólnota tworzymy całość.

Już od wielu lat Prowincja Warszawska współpracuje na pewnej płaszczyźnie z Prowincją Australijską przysyłając braci diakonów na kurs języka angielskiego i do pomocy głównie w duszpasterstwie młodzieży. Jako diakoni w Australii byli bracia: Piotr Wardawy, Marcin Radomski, Mieczysław Lewocki, Marek Gil, Bartosz Poznański, Łukasz Lewczuk, Przemysław Kyspin, Rafał Sońta i Marcin Dębski. Jako prezbiterzy przez pewien czas obecni byli: Dariusz Polak, Andrzej Derdziuk i Marcin Radomski. Obecność tych wszystkich braci była szalenie istotna dla Prowincji, gdyż, jak stwierdził ówczesny Prowincjał Julian Messyna, pokazała ona „młode oblicze” Zakonu Australijczykom. Warto także wspomnieć, że

ze strony Australijczyków także jest zainteresowanie sposobem życia Warszawskiej Prowincji. Polską parę razy odwiedzał ówczesny Prowincjał Julian Messina oraz referent powotaniowy Robert Stewart, Michał O'Dweyer (ówczesny gwardian z Sydney) a także bracia studenci Lam Vu i Luan Lee. Wszyscy bardzo miło wspominają wizytę w Polsce. W przyszłości wizytę w Polsce planuje obecny Prowincjał Denis Ward.

Obecnie w Australii pracuje dwóch polaków: Bernard Morawski i Marcin Radomski. Zajmujemy się pracą na różnych płaszczyznach. Br. Bernard głównie zaangażowany jest w kapelanię języka hiszpańskiego i polskiego. Jest także wikarym wspólnoty w Melbourne oraz kierownikiem duchowym Odnowy w Duchu Świętym. Ja natomiast zajmuję się duszpasterstwem młodzieży, organizując kluby filmowe wraz z dyskusją oraz pracuję jako kapelan w katolickiej szkole średniej św. Kevina. Jestem także w ekipie katechistów Drogi Neokatechumenalnej w Melbourne. Obaj z Bernardem pracujemy w formacji i jesteśmy zaangażowani w duszpasterstwo przy naszym sanktuarium św. Antoniego.

Wiele jest do zrobienia na ziemi australijskiej, ale też wiele jest nadziei w przyszłości i w tym, że PAN daje powołania do Zakonu. Ludzie w Australii generalnie żyją na dobrym poziomie materialnym ale nie zawsze jest to bezpieczne dla życia duchowego. Skoro wszystko mam, niczego mi nie brakuje, więc po co Bóg? Z tym pytaniem boryka się wielu ludzi...i to jest naszą misją pomóc znaleźć odpowiedź na to pytanie po co mi Bóg? Głównie ludzie są spragnieni duchowości. Okazuje się, że Kościół katolicki widziany jest jako ta wspólnota, która jest w stanie pokazać konkretnie tę odpowiedź. Wielu młodych ludzi poszukuje możliwości pogłębiania albo wręcz odkrywania swojej



wiary. Kiedy byłem w Sydney pracowałem na Uniwersytecie jako kapelan. Był to całkiem laicki uniwersytet, ale sporo młodych ludzi szukało i szuka nadal Boga.

Duszpasterstwo przy naszym sanktuarium św. Antoniego ma charakter tradycyjnego duszpasterstwa kapucyńskiego. Kościół otwarty jest cały dzień od 6 rano do 21 wieczorem z całodziennym dyżurem spowiedzi. Wiele osób z różnych stron Melbourne przychodzi do nas do kościoła, wiedząc, że u nas jest spowiedź dostępna cały czas. Poza tym znaczną część duszpasterstwa poświęcona jest pracy z Włochami.

Australia żyje swoim południowym rytmem, nie znaczy to, że Kapucyni tutaj są inni i odbiegają od normy. To co mnie fascynuje, to fakt, że pomimo tego, że jesteśmy z różnych krajów (w naszej wspólnotcie są Włosi, Maltańczycy, Polacy, Czesi, Indonezyjczycy, oraz urodzeni w Australii) mówimy tym samym kapucyńskim językiem. Ulubionym słowem kardynała Georga Pella jest „entuzjazm”. Ten właśnie entuzjazm odkrywam na nowo w życiu chrześcijańskim i kapucyńskim na ziemi Australijskiej.

br. Marcin Radomski

Moje misje w Gwatemali

1972-74 r. (część I)

br. Zbigniew Franciszek Konopka, pierwszy spośród misjonarzy Warszawskiej Prowincji Kapucynów, przebywał na misjach w latach 1972-1974. Jego pobyt został przerwany z powodu choroby. Obecnie od wielu lat przebywa w klasztorze w Łomży i tam wciąż pełni duszpasterską postugę wśród chorych. Oto jego wspomnienia z misji.

Ogólne duszpasterstwo

W ostatnich kilku latach w spotkaniach towarzyskich opowiadałem o swej pracy duszpasterskiej w Gwatemali i o zagrożeniach tam mojego życia. Zachęcono mnie, abym to spisał, co niniejszym czynię.

Na misjach w Gwatemali zostałem proboszczem w parafii Ipala. Patronem kościoła i parafii jest św. Ildefons. W kościele parafialnym w mieście Ipala w każdą niedzielę sprawowałem Msze święte z homiliami, spowiadałem i udzielałem chrztów świętych. Chodziłem z sakramentami świętymi do chorych. W dni powszednie odprawiałem Mszę św. o godz. 18, gdy wracałem z duszpasterstwa na wsi.

Do obsługi duszpasterskiej miałem oprócz kościoła parafialnego jeszcze 22 wioski. Do każdej z nich dojeżdżałem samochodem raz na miesiąc. Tam spowiadałem, chrzciliem, sprawowałem Mszę św. z homilią, jechałem do chorego, jeżeli wypadło.

O dniu mojego przyjazdu na wieś dowiadawali się sottysi poszczególnych wsi, gdy byli w Ipali na odprawie u Alcaldego (starosta) w I niedzielę miesiąca. Oni powiadamiali mieszkańców swoich wsi. Aby zrealizować swój program wizyty raz w miesiącu na każdej wsi, bywało, że w jednej wsi byłem przed

potudniem, a w sąsiedniej po południu. Zdarzało się, że do tej sąsiedniej wsi, wierni prowadzili mnie procesjonalnie.

Przygotowanie do sakramentu małżeństwa

W każdą sobotę zostawałem w domu parafialnym i czekałem w kancelarii na kandydatów do sakramentu małżeństwa, oraz do I spowiedzi i I Komunii św., tych, którzy jeszcze nie przyjęli tych sakramentów. Część z przybywających par, to byli kawaler i panna, a reszta była już w latach i mieli dorosłe dzieci. Dlaczego ci ostatni tak późno się zdecydowali na sakrament małżeństwa? Główną przeszkodą był kontrakt małżeński, za który urzędnik państwowy (alcalde) żądał wysokiej opłaty. Bez tego „cywilnego ślubu” nie można było udzielić sakramentu małżeństwa. A byli ci ludzie bardzo biedni. Można tu dodać inną przyczynę – to słaba ich religijność.

Na katechezę przedślubną przychodzili w różnym czasie dnia sobotniego. Prawie każdą parę musiałem oddzielnie katechizować. Omawiałem z nimi główne prawdy wiary i sakramenty święte. Każde spotkanie trwało od 90 do 120 minut. Po kilku spotkaniach, bo później by nie przyszli, udzielałem im sakramentu małżeństwa i to w czasie Mszy świętej. Ofiary z okazji ślubu nie dawali, tylko z okazji Mszy świętej.

Raz zdarzyło się, że młodzi kawaler i panna przyjechali z wszystkimi zaproszonymi na wesele, aby zawrzeć ślub. Nie byli jeszcze u pierwszej spowiedzi, ani u pierwszej Komunii św. i nie mieli żadnego przygotowania do tych sakramentów świętych. Gdybym ich

odprawił z niczym, w niedługim czasie bym się pożegnał z życiem. Bowiem na mojej parafii, gdzie kapucyni byli od kilkunastu lat, co miesiąc lub półtora miesiąca, ktoś w nocy był zamordowany. Więc wszystkim weselnikom kazałem czekać w kościele. Młodą parę zaprosiłem do kancelarii i tam z nimi przeprowadziłem 2 godzinną katechezę – przygotowania do pierwszej spowiedzi i pierwszej Komunii św. oraz do sakramentu małżeństwa. Spisałem akt ślubny. Następnie na Mszy świętej udzieliłem im sakramentu małżeństwa z I Komunią św., wpięram przed Mszą św. ich wypowiedzawszy.

Aby się zachęcać do gorliwszej pracy duszpasterskiej, często sobie mówiłem: nie przyjechałeś tu na wycieczkę, ale do pracy apostołskiej.

Grupy nieformalne

W parafii Ipala były 2 grupy nieformalne: Bractwo św. Ildefonsa i Apostolstwo Modlitwy.

Bractwo św. Ildefonsa – należeli do niego tylko mężczyźni. Religijność tej grupy miała dużo do życzenia. Na początku mojego proboszczowania przyjechał na wizytację do parafii Ipala ks. Biskup Ordynariusz. Między innymi zrobił spotkanie z Bractwem św. Ildefonsa. W pewnej chwili powiada do nich: kto nie ma ślubu kościelnego niech podnieść rękę. Nikt nie podnosi. Powtórzył gniewnie pytanie. Gdy ich było blisko 100, to 3/4 z nich podniosło rękę do góry, że nie zawarli jeszcze sakramentu małżeństwa.

Mieli swego szefa i skarbnika. Proboszcz do ich kasy nie miał żadnego wglądu. Nie przychodzili do kościoła na spotkania grupowe z proboszczem. Jaka to była religijność tego bractwa?

Apostolstwo Modlitwy. To zrzeszenie miało dobrego ducha i religijnego przewodniczącego. Jako zrzeszenie przychodzi-



li do kościoła raz w miesiącu, w niedzielę. Rekrutowali się z miasta i ze wsi. W czasie spotkania spowiadali się, komunikowali na Mszy świętej, specjalnie dla nich mówiłem konferencję. Rzeczywiście ta grupa była tym kwasem ewangelicznym, który zakwaszał ciasto – całe społeczeństwo parafii Ipala.

I tu nadmienię jeden fakt w związku z tym zrzeszeniem. Jestem z wizytą duszpasterską w jednej wsi w swej parafii. Po spowiedzi, chrztach i Mszy świętej wołają mnie do chorej z sakramentami świętymi. Udzieliłem ich. Ledwo mówiła szeptem. Widzę stan choroby bardzo ciężki. Kobieta – matka 3-ga dzieci miała lat ponad 30. Pytam byliście u lekarza. Tak. I wciąż gorzej. Mówię – to chyba leki nie są dobre. Niech pan bierze chorą żonę i jedzie ze mną do lekarza w Ipali. Okazało się, że lekarza nie ma w Ipali. Wyjechał do stolicy. W takim razie jedziemy do szpitala w Chiguimula. W drodze pytam męża chorej: czy ma pieniądze? Nie ma. Dałem mu 5 quetzali (kedzal – to dniówka pracy robotnika).



W szpitalu lekarz przy mnie zbadał chorą. Powiada. Lek był dobry, ale była przepisana za duża dawka. Gdyby jeszcze dalej tak brała ten lek, to by umarła. Została w szpitalu z mężem. Po miesiącu przyszła do kościoła w niedzielę i dziękowała mi za uratowanie życia. A po upływie pół roku przyjechała owa rodzina, aby się pożegnać ze mną. Jadą do puszczy w stronę Meksyku. Tam wycinając i karczując las, będą uprawiać ziemię.

W mojej parafii tylko niektórzy na wiosce mieli więcej ziemi, t.j. 2-3 hektary. Inni ½ ha lub 1 ha. I na tym kawałku musieli się utrzymać. Rodziny były wielodzietne. Głównie uprawiali kukurydzę – ich chleb i czarna fasolę. Sieli też trochę warzyw: kapusta, pomidory i inne. Ziemia tam jest powulkaniczna, koloru ceglatego, urodzajna.

Problem w związku z moim zakrystianem

Mój poprzednik O. Piotr z Malagi, proboszcz w Ipali, przyjął na zakrystiana chłopca 13-letniego. Zamieszkał on domu pa-

rafialnym. Chodził do podstawowej szkoły i pełnił obowiązki zakrystiana. Nauczył się też nieco grać na fisharmonii. Przygrywał na Mszy św. małemu chórowi, kilku dziewcząt. Miał na imię Raul.

W czasie zimy w Gwatemali, t.j. od października do marca włącznie, nie ma deszczu. Dotyczy to środkowej i wschodniej Gwatemali. W zachodniej natomiast Gwatemala deszcze padają cały rok i niektórzy w czasie zimy jadą tam do pracy. Nasza misja kapucyńska usytuowana jest w departamencie Chiguimula, a zatem w środkowej Gwatemali. W czasie zimy ludzie mają dużo czasu. Wtedy więc w miesiącach styczniu, lutym i marcu każda większa wieś ma swoje święto. W kaplicy lub w szkole odprawia się uroczystą Mszę św. graną. Na tej Mszy jest więcej wiernych niż na innych Mszach w ciągu roku.

Po tym wprowadzeniu opiszę sprawę Raula, mojego zakrystiana. Jeden z ministrantów ostrzegł mnie, że Raul kradnie pieniądze z tacy niedzielnej. Poprosiłem kogoś, aby podczas Mszy niedzielnej chodził z tacą. Rozejrzałem się czy są inne fakty jego kradzieży. Tak. Przed kilkoma miesiącami skończyły się nabożeństwa z katafalkiem. Wziąłem wtedy ciemny materiał (4 m na 3 m), służący do katafalku, daję Raulowi – schowaj. Teraz pytam go, gdzie ten materiał. Nie wiem odpowiada. Uptłynił go.

Inny fakt. Kupiłem z nim 30 mat, aby rozkładać je na noc w sali na betonie, dla pielgrzymów idących do sanktuarium w Esquipulas. W tym narodowym sanktuarium jest czczony cudowny Jezus na krzyżu. Jest ono oddalone 50 km od Ipali. Opiekują się nim OO. Benedyktyni i mają tu swój klasztor. Wracają do Raula, mówię mu weź klucz, pojedziemy do magazynu. Liczę z nim niedawno kupione maty. Brakuje 3. Przyniósł je odłożone. Jeszcze ich nie sprzedał.

Podjąłem decyzję – zwolnię go z obowiązku zakrystiana. Aby się upewnić w swej decyzji, zasięgnę radę u innych. Byłem u Biskupa Ordynariusza Luny w jakiejś sprawie. Nadmieniał mu również swego zakrystiana, skłonnego do kradzieży. Powiada – Padre zna tamte warunki, niech sam decyduje. Jestem w Chiguimula u przełożonego O. Angela Garcia, mówię mu o Raulu. Nic mi nie radzi. Pojechałem do Quezaltepeque do współbraci kapucynów z Krakowskiej Prowincji. Im przedstawiam sprawę Raula. Tam pracują O. Stanisław Ciochoń i O. Damian Delekt. Ojciec Stanisław mówi: poczekaj jeszcze niech dorośnie, to cię wyszykuje, że się nie poznasz. A więc upewniam się w swej decyzji zwolnienia Raula z obowiązku zakrystiana.

Na tym miejscu zrobię małą dygresję. Przed kilku miesiącami odwiedziłem proboszcza w Agua Blanca, franciszkanina z USA, w sąsiedniej parafii. Powiada – Padre pojechałem do stolicy. Mój zakrystian włamał się do mojego mieszkania. Ukradł pieniądze za 4 gregorianki, muszę je za darmo odprawiać i zabrał mi aparaty. Zgłosiłem tę kradzież do komendanta policji. Ten powiada – mogę zrobić użytek, ale prywatnie radziłbym księdzu zaniechać tego, bo on zaczął się w górach i zamorduje księdza. Poszedł ten proboszcz za radą komendanta i chyba nie zwolnił go z obowiązku zakrystiana, bo też by się naraził złodziejowi na utratę życia.

Wracam do sprawy Raula. Mówię Ojcom Stanisławowi i Damianowi: znajdę w Ipali człowieka na miejsce Raula i przyślę go do was, aby u waszego organisty poduczył się grać na fisharmonii. W Ipali zwracam się do Przewodniczącego Apostolstwa Modlitwy, czy chciałby zostać zakrystianem w kościele w Ipali. Chętnie odpowiada. Miał ponad 30 lat, żonaty, troje dzieci. Niech pan jedzie do Quezaltepeque, do organisty i poduczy się

u niego grać na fisharmonii, w ciągu stycznia, lutego i marca.

W miesiącach wyżej wymienionych prawie codziennie jeździłem z Raulem do większych wsi, aby tam sprawować Mszę św. uroczystą. Dzień takiej Mszy obchodzili jako święto. Raul w takiej Mszy grał na fisharmonii i dostawał 1 quetzal (dniówka pracy). Zatrzymałem mu pensję za styczeń, luty i marzec, i zapisywałem ile było Mszy granych. Skończyły się te doroczne uroczystości na wsiach i w Ipali, powrócił z nauki grania nowy zakrystian. Mówię do Raula, zawołaj rodziców. Przyszli. Powiadam im: od dziś Raul nie jest zakrystianem, bo jest małoletni, a ja jestem wciąż w terenie. Nie mogę się nim opiekować. Nie powiedziałem najważniejszego motywu zwolnienia, bo on by się tego wyparł. Proszę wziąć pensję Raula za 3 miesiące i ponad 20 quetzali za Msze grane. Zatrzymałem pieniądze by je lepiej poszanować.

Czasem zapraszany byłem na weselach (około 1½ godz.). Teraz znów mnie zapraszają na przyjęcie weselne. Pytam nowego zakrystiana – czy jest mi bezpiecznie pójść. Nie – powiada. Nie poszedłem. Na tańce weselne przychodzili też niezaproszeni. A ponadto trzeba było samemu wracać do domu. Na ich weselach nie spotkałem alkoholu i tak rzeczywiście było. Świadczy o tym następujący fakt. Jest uroczystość państwowa w Ipali z racji założenia linii wysokiego napięcia. Przyjechał na nią wojewoda ze swymi urzędnikami. Różne mowy, na końcu ja poświęciłem tę linię. Przyjęcie. Alkohol zjawiał się tylko na stole wojewody i urzędników. Na stołach przy których siedzieli mężczyźni z Ipali nie było żadnego alkoholu. Pod tym względem możemy się uczyć od Gwatemalczyków. (cdn...)

br. Zbigniew Franciszek Konopka



Obóz misyjny ze św. Pawłem

Wakacje to niewątpliwie czas wielkiej szansy na poznawanie świata. Turcja, gdzie od prawie dwóch lat przebywamy wraz z br. Pawłem stała się w tym roku miejscem, gdzie młodzież z naszego klasztoru w Lubartowie mogła przez dwa tygodnie towarzyszyć naszej misyjnej pracy. Dzięki pomocy finansowej prowincji Emiglia-Romania, która patronuje kustodii tureckiej udało się zaprosić grupę młodzieży z o. Marcinem Derdziukiem jako opiekunem do Turcji. Wrażenia i przeżycia zostały zanotowane w podróży pamiątniku jednej z uczestniczek, Marleny Siwek, która bardzo żywo dzieli się tym co przeżyliśmy. Mam nadzieję, że ten dwutygodniowy pobyt naszych młodych rozpocznie regularne wyjazdy młodzieży z naszych ośrodków z ich duszpasterzami do naszej misji w Turcji, przyczyniając się zarazem do umacniania wiary w sercach polskich i tureckich. Zapraszam do przeczytania wybranych fragmentów ze spisanych wrażeń z naszej wyprawy....br. Maciek

3 VIII 2009

I oto trafiliśmy wreszcie do ziemi tureckiej. Po całym dniu mniejszych czy więk-

szych przygód nasza podróż nie była jeszcze zakończona, jednak już tutaj mogliśmy poczuć, że otwiera się przed nami zupełnie nowa rzeczywistość. Wszystko było inne - klimat, rośliny, krajobrazy, ludzie... I my nie czuliśmy się już tacy sami, bo po części zaczęliśmy należeć do tej ziemi. Przynajmniej na jakiś czas.

Przywitani bardzo gorąco (pod każdym względem) od razu wyruszyliśmy do Mersinu. Nagle, dostownie chwilę po tym, jak wyjechaliśmy, zatrzymała nas policja... Wszyscy gorączkowo, ale nie bez zaciekawienia zastanawialiśmy się : co się stało? Niestety to, czego się dowiedzieliśmy, nie było zabawne – parę dni temu zamordowano tam 8-letniego chłopca i policja dotąd nie znalazła sprawcy, to była więc rutynowa kontrola.

Tymczasem obok miejsca, w którym się zatrzymaliśmy stała ciężarówka załadowana... dziećmi. Po raz pierwszy uderzyła nas „inność” tego świata. Małe, skromnie ubrane dziewczynki i chłopcy siedzieli upchnięci na plandecie albo gdzieś obok ciężarówki, odpoczywając po całodzienniej pracy w polu. Widok jak z filmu dokumentalnego o biednych afrykańskich wioskach – a jednak. Kie-

dy gnaliśmy ciemnymi ulicami, można było zauważyć więcej takich przykładów ubóstwa – okolice były zaniedbane i groźnie wyglądające. Budynki były bardzo małe i czasem miały tylko prowizoryczne drzwi. Turcja powoli odświeżała przed nami swoje oblicze...

Mersin okazał się taskawszy. Klasztor, w którym mieszkaliśmy, był prześliczny. Stupięćdziesięcioletni budynek, w którym było kiedyś seminarium i wielka szkoła językowa z 150 studentami – dziś już zamknięte.

Przy kolacji poznaliśmy ojca Roberto Ferrari. Niesamowity człowiek o niesamowitej historii życia. Przykład? Urodził się dwa razy! Kiedy był mały po prostu zachorował i w pewnym momencie jego serce przestało bić. Ponieważ kiedyś pogrzeby urządzano bardzo szybko, z uwagi na gorąco i rozkładające się ciało, wezwano księdza i rozpoczęto pogrzeb. Wtem Roberto... obudził się! W ten sposób narodził się po raz drugi – na szczęście, bo potem jego życie było tak barwne i miało wielki wpływ na innych ludzi. Roberto wstąpił do zakonu, potem przyjechał tu - do Turcji. I tutaj też zaczęły się jego przygody, z których można by spisać kilkutomową powieść.

Wszystko zaczęło się od zabytkowego, zepsutego dzwonu, który Roberto odesłał statkiem do Włoch. Pech chciał, że policja się o tym dowiedziała i wtrąciła Roberto do tureckiego więzienia. Niestety wszelkie legendy krążące po świecie i opowiadające o straszliwych warunkach i życiu w strachu okazały się prawdą. Roberto nie miał tam łatwo, był prześladowany, przez ten jeden miesiąc zupełnie osiwił. Mimo to nie był pozostawiony samemu sobie. Zdarzyło się, że jeden z przebywających w więzieniu przestępców, muzulmanin, ciężko zachorował. Roberto przez przypadek (oczywiście, że nie ma przypadków...) miał przy sobie starą aspirynę. Dał ją choremu bandziorowi a ten

wyzdrowiał! Wydarzenie to było ogromnym zwrotem w życiu Roberto i jego relacji ze współwięźniami, ponieważ mężczyzna, któremu pomógł, wyrzucił potem Turkom: „jeścieście moimi braćmi i nie pomogliście mi, a ten chrześcijanin mi pomógł!”. Od tego czasu zmieniło się wszystko w tym więzieniu, a jego dyrektor z przerażeniem obserwował, jak dochodziło do kolejnych nawróceń. Więźniowie zaczęli uczestniczyć w Mszach Świątych odprawianych przez Roberto, rozmawiali o Ewangelii. Pewnego dnia ktoś wpadł nawet na pomysł, żeby zorganizować sympozjum! Siłą zmuszono Roberto, aby stanął do „pojedyńku” z muzulmaninem. Pytania padały trudne, ale obaj wychodzili z twarzą, odpowiadając bardzo roztropnie. Ojciec Ferrari zrobił jednak furorę, kiedy na pytanie „dlaczego chrześcijanie nie wypełniają prawa i nie poddają się obrzezaniu, skoro Chrystus był obrzezany”, odpowiedział: „Ale Chrystus nie był chrześcijaninem, tylko hebrajczykiem!”. Wtedy zupełnie przekonał do siebie obecnych. Władze zdecydowały się więc działać szybko i postanowiono przenieść Ferrari do innego więzienia, w Istambule. Tu wydarzył się kolejny cud, ponieważ oba mosty, przez które miał być przewieziony, zawaliły się! To uratowało mu życie, bo w więzieniu istambulskim prawdopodobnie nie przeżyłby długo.

To jednak nie był koniec jego przygód, bo jakiś czas później, gdzieś w mieście, Roberto spotkał strażników z owego więzienia. Zagadnęli do niego życzliwie, zapytali co u niego i czemu ich nie odwiedza, po czym zaproponowali pogawędkę przy herbacie. Ferrari zgodził się, wsiadł do samochodu, pojechał z nimi i... znów trafił do więzienia! Policja podejrzewała go o przemyt narkotyków. Oczywiście szybko okazało się, że Włoch jest niewinny i opuścił więzienne mury, w których de facto był przyjęty zupełnie ina-

czej niż za pierwszym razem, więźniowie bowiem dobrze pamiętali go. Potem znowu władze przekonane były, że zamieszany jest w przemyt samochodów i znów chciano zamknąć go w więzieniu, szybko jednak sprawa się wyjaśniła. Policjant, który wciąż tak go ścigał, śmiał się w końcu, że on musi być w jakiejś mafii. A Roberto stwierdził wtedy, że owszem, jest – „A to mój Szef”, dodał, pokazując krzyż...

Po kolacji wyszliśmy na dwór. W tak ciepłą (ewidentnie ciepłą...) noc rozmowy są tak przyjemne, że siedzieliśmy tam naprawdę długi czas. Ojciec Maciek opowiadał nam o swojej pracy w Mersinie, problemach i radościach. Jego parafia to około 300 osób – wspólnota. Przychodzą tu katolicy, prawosławni i muzułmanie. Bracia zajmują się katechizacją dzieci i młodzieży oraz chętne osoby przygotowują do chrztu.

Trudno tu o spokój. Ostatnio chłopak nożem od kebaba chciał zaatakować o. Roberto, trafił do więzienia, ale teraz jest na przepustce i razem z kolegami mści się. Policja czuwa więc. Tak sobie myślę – tutaj nawet niebo nie jest takie samo. Jak tutaj – kobiety, gwiazdy też zakryły się chustami i nie widać ich wcale...

04 VIII 2009

(...)

Dziś pojechaliśmy do Tarsu, rodzinnego miasta św. Pawła. Tym, co rzucało się w oczy za każdym razem, kiedy wyglądałam przez okno w naszym busie, były wszechobecne palmy i węże nawadniające zielone trawniki w miastach. Ciągle też towarzyszyły nam piękne góry, gdzieś tam na horyzoncie. (...)

Dziś po raz pierwszy tak naprawdę zetknęliśmy się z tutejszą ludnością i nie da



się zaprzeczyć, że wywoływaliśmy zainteresowanie wszędzie, gdzie się pojawiliśmy. Turcy jak najbardziej są wzrokowcami, dlatego cała nasza grupa była pod pilną obserwacją. Nikt nawet się z tym nie krył, my chyba byliśmy bardziej zakłopotani niż oni. Ale trzeba ich zrozumieć, większość z nas ma naturalnie jasne włosy, co dla nich jest czymś nieprawdopodobnym, zwłaszcza w połączeniu z jasną cerą. Swoją drogą – czy właściwie nam to przeszkadzało...?

Przechadzając się uliczkami Tarsu, spotkaliśmy mnóstwo dzieci. Niektóre nieśmiało dreptały kilka metrów za nami, a zaczepione odpowiadały niepewnie „merhaba”, inne zaś bez skrępowań i zażenowania przeciskały się między nami i do każdego wyciągały ręce, a ze szczerbatych, uśmiechniętych buź styszeliśmy ciągle „Money! money!”. Odprowadzani okrzykami dzieci trafiliśmy do miejsca, gdzie znajduje się fragment drogi rzymskiej i łaźni. Niewątpliwie patrzyliśmy na coś bardzo wartościowego, bo nie wolno nam był nawet zejść niżej i tylko z niewielkiego wzniesienia obserwowaliśmy ciągnące się przed nami starożytne „kocie tby”.

Następnym miejscem, które zwiedziliśmy, była brama Kleopatry, jedna z czterech bram Tarsu, po czym wyruszyliśmy w stronę Adany. Nazwa miasta pochodzi od imienia Adanosa, syna Uranosa – ojca Bogów. Odwiedziliśmy ojca Francis Dondu, kapucyna z Indii, który pracuje w jedynej parafii chrześcijańskiej w Adanie, w kościele, który został braciom odebrany i o który toczy się proces. Ojciec Franco musi płacić za korzystanie z jego wnętrza. Parafia liczy 150 chrześcijan, my zaś spotkaliśmy młodzież turecką, która uczy się tu też angielskiego. Dzieci były tak bardzo zawstyżone, że za każdym razem, gdy przychodziła kolej następnego z nich, aby się przedstawić po angielsku, reszta dzieci, śmiejąc się, wypychała taką małą



osóbkę na środek koła, ona zaś natychmiast chwytła się o. Francis, który z równą dzieciom radością otaczał każde ramieniem i podpowiadał, co i jak mówić.

Zwiedziliśmy cały kościół, a na koniec ojciec zaprosił nas na kawę włoską...w kościele! Rozstawiliśmy stół (przypominający de facto ołtarz, ale nie, ołtarzem nie był oczywiście) i krzesła i w tej niezwyklej scenerii, „kościelnej kawiarni” stuchaliśmy historii o Francis, popijając czarną jak noc kawę.

Tutaj także nie jest łatwo żyć, chrześcijanie walczą otwarcie z księżmi. Zdarzało się, że w czasie Mszy fotografowano brata, który przekazywał znak pokoju młodej dziewczynie i następnego dnia w prasie ukazywał się artykuł o ich rzekomym romansie. Ojciec Francis ma o tyle łatwiej, że indyjska uroda sprawia, że jest on bardziej podobny do Turków niż Europejczycy, to znacznie zmniejsza dystans i ułatwia życie.

Wspólna kawa była bardzo miłym akcentem, chociaż ukrop na dworze niemal taki sam, jak w naszych filizankach. Znaleźliśmy jednak siły nawet, by zaśpiewać coś po polsku („Ziemie” oczywiście).



więcej ludzi, wszyscy stawali twarzą do ściany naprzeciw nas i zaczęli wykonywać swoisty „układ” – to klękali, to wstawali, schylali się...i tak w kółko. Nawet kilkuletni chłopiec obok nas modlił się, naśladując dorosłych. Kobiety – nieliczne – modliły się za nami, w części oddzielonej ściankami. (...)

07 VIII 2009

Podziemne miasta.

Ponieważ Arabowie i Mongołowie często atakowali te ziemie, jej mieszkańcy wpadli na genialny pomysł stworzenia podziemnych miast. Jedno z nich -Kaymaklı, odwiedziliśmy dziś. Wrażenia? Dosyć... ciasno My jednak widzieliśmy niewielką część tego, co naprawdę było używane – niżej potożone kondygnacje są zbyt niebezpieczne do zwiedzania albo zawaliły się, wszystko to jednak na pewno było ogromne, skoro mogło „przechować” kilka tysięcy osób razem z bydłem i zapasami przez pół roku! Kuląc się pod niskimi sufity, przeciskając przez chwilami nieprawdopodobnie wąskie tunele, zwiedziliśmy ten wielki dom-labirynt – niestety już pod nieobecność jego właścicieli... (...)

Prosto z kościoła pojechaliśmy do Wielkiego Meczetu Sabanci Cami, który jest największym w Turcji i w ogóle na Bliskim Wschodzie. Jak najszybciej wysiedliśmy z busa (dlaczego? Bo zatrzymaliśmy się na środku ruchliwej ulicy) i po akcji „chusta&spódnica” weszliśmy do tego kołosa. W środku jest precudnie, kopuła przeogromna. Nie ma tam ani jednego fresku, któryby przedstawiał jakąś postać, wszystkie ornamenty to albo motywy „kwiatoto-gąłżkowo-listkowe” albo nic nieznaczące dla Europejczyka arabskie słowa - cytaty z Koranu. Nagle wokół dał się słyszeć przeraźliwy krzyk. Przetoczył się przez całe wnętrze i z pewnością był doskonale słyszalny na zewnątrz, bardzo daleko. To muezin wypowiadał po arabsku namaz, muzulmańską modlitwę, która jest faktycznie recytowana, ale dla nas – nieznających języków tonicznych, brzmi jak zawrođenje. Swoją drogą ciekawe, że tak naprawdę nikt nie rozumie słów modlitw – mało kto zna arabski! Jedynie muezini uczą się go w szkołach koranicznych.

Siedzieliśmy więc słuchając miłego pana muezina, a do meczetu schodziło się coraz

Po południu dojechaliśmy do armeńskiego Kizil Kilise – Czerwonego Kościoła, potożonego nie na wzniesieniu jak większość kościołów, ale pośród pól, otoczonego z daleka błękitnymi górami. Różańce kamieni i skałek, ciągnące się wzdłuż drogi, doprowadziły nas do ruin, w których kiedyś gromadzili się chrześcijanie. Rzeczywiście – czerwony tak z nazwy jak i w wyglądzie, odznaczał się wyraźnie swoją krwawą barwą na tle ozłoconych zbożami pól. I chociaż wielu powiedziałoby o nim „ruina”, to mimo zapomnienia wśród gór i pól, mimo zniszczeń, jakie się dokonały wśród czerwonych kamieni, wyglądał jednak majestatycznie i dumnie, jak ktoś, kto – na pierwszy rzut okazywał się nędzarza, chowa w so-

bie duszę króla.

09 VIII 2009

Ponieważ cały dzień spędziliśmy na plaży, wieczorem musieliśmy sobie troszkę odpocząć. Idealnym sposobem na odstresowanie wydał nam się spacer do miasta. Trafiliśmy na festyn – spróbowaliśmy tureckich,ciągających się jak guma lodów, pośpiewaliśmy w porcie, staliśmy się obiektem zainteresowania mieszkańców, po czym wróciliśmy do domu. Odpocząć oczywiście...

13 VIII 2009

W końcu doczekaliśmy się i Antiochia przywitała nas hucznie i gwarnie. Jeżeli do tej pory trzeba było często trąbić na ulicy, to było to nic, w porównaniu z tym, co się dzieje tutaj! Jeden wielki chaos i tłok! Bez różnicy czy jedziesz rowerem, samochodem, trakto-rem, wielbłądem czy czymkolwiek innym – jedziesz jak ci się podoba, skręcasz jak ci się podoba, parkujesz jak ci się podoba, nawet na środku skrzyżowania (sic!). Oj, tak, tutaj sobie potrabimy....

Klasztor tutaj jest najpiękniejszym miejscem w jakim dane nam było mieszkać. Są dwa dziedzińce, wszędzie jest pełno roślin, klasztor jest jasny i taki – chciałoby się powiedzieć „pogodny”.

17 VIII 2009

No i niestety koniec. W samolocie uciekały nam spod stóp tysiące koralowo czerwonych dachów. (...) Pięknie było tu – a raczej TAM być. Niby wracaliśmy do domu, ale Turcja przyjęła nas tak gościnnie, że kolejne dwa tygodnie ani nie znudziłyby nas, ani nie zmęczyły, ani nie pozwoliły myśleć o powrocie.

Marlena Siwek

Projekty misyjne 2009

Poniżej przedstawione są niektóre z realizowanych obecnie projektów przez naszych misjonarzy na terenach misyjnych oraz w służbie nowej ewangelizacji na Białorusi. Oto konkretne potrzeby, na które możecie odpowiedzieć przekazując ofiary za naszym pośrednictwem:

Budowa ośrodka zdrowia w Essassa (Gabon)

Od roku prowadzona jest zbiórka na rzecz konstrukcji i wyposażenia ośrodka zdrowia w Essassa, przy pierwszej misji Braci Kapucynów w Gabonie. Przy misji działa szkoła podstawowa i przedszkole, brakuje przychodni zdrowotnej, która mogłaby wyjść naprzeciw potrzebom mieszkańców. Rozpoczęcie realizacji projektu napotyka trudności w postaci planów budowy drogi krajowej przez teren misji, zmian personalnych oraz konieczności wyboru odpowiedniej pory na budowę (pora sucha). Odpowiedzialnym za realizację projektu jest obecnie br. Franciszek Totczyk

Budowa kaplicy w Ayeme Maritime (parafia Essassa, Gabon)

Wspólnota wierzących w Ayeme Maritime, jednej z wiosek w parafii Essassa spotyka się w bardzo prowinizyjnej kaplicy sklejonej z kilku desek i gałęzi palm. Mieszkańcy tej wioski nie są w stanie wybudować nawet skromnego, odpowiedniego miejsca, gdzie mogliby się gromadzić na liturgię i katechezę. Dlatego istnieje potrzeba wsparcia tej budowy. Odpowiedzialny – br. Franciszek Totczyk. Koszt budowy – około 15 000 euro.

Pomoc w zakupie podręczników szkolnych dla ubogich dzieci w Santa Ana (Salwador)

Bracia Kapucyni z Polski pracują od wielu lat na terenie ubogich przedmieść Santa Ana. Spotykają tam wiele dzieci i młodzieży, którzy nie mają możliwości rozpoczęcia lub kontynuacji nauki z powodu braku środków materialnych. W miarę możliwości spieszą im z pomocą. Odpowiedzialny – br. Franciszek Gaca

Wymiana samochodu w Santa Ana (Salwador)

Do obsługi duszpasterskiej rozległej parafii Santa Ana bracia potrzebują dwóch sprawnych samochodów terenowych. Obydwa, którymi się obecnie posługują wymagają wymiany z powodu ich wyeksploatowania. Odpowiedzialny – br. Franciszek Pietruch. Koszt zakupu samochodu – ok. 20 000 dolarów.

Budowa kościoła i klasztoru w Mołodecznie (Białoruś)

Mołodeczno jest 100-tysięcznym miastem, w którym istnieją jedynie dwie parafie i tylko jeden kościół. Budowa tamtejszego kościoła i klasztoru jest wielką inwestycją, którą udaje się realizować z pomocą Bożą i dobrych ludzi w miarę sprawnie. Już większość została wybudowana, wciąż jednak potrzeba wielkich środków materialnych, by budowę zakończyć i wyposażyć wnętrze. Zainteresowanych wspomnianym dziełem nowej ewangelizacji na Białorusi zachęcamy do przekazywania ofiar na ten konkretny cel. Odpowiedzialny – br. Tadeusz Kowalski.



Opowieści tropikalne (cz.2)

Świętujemy

Nasza misja leży kilkanaście kilometrów za stolicą kraju Libreville przy jedynej drodze wyjazdowej z miasta, czyli drodze numer 1. Ostatnio postanowiono poszerzyć tę drogę i, w konsekwencji, wyburzyć wszystkie budynki zbudowane w bezpośrednim sąsiedztwie naszej asfaltówki. Specjalne ekipy zaznaczały domy do zburzenia i tym sposobem tracimy przynajmniej dwie kaplice w naszej parafii i sporą część terenu naszej misji. Nikt nie wie kiedy to będzie, bo w Gabonie tego typu decyzje muszą „dojrzeć”, co może potrwać nawet kilkadziesiąt lat.

Mieszkańcy wioski Bizango, którzy mają ambicje być nie wioską lecz przedmieściami Libreville, postanowili rozpocząć, przynajmniej oficjalnie, budowę nowej kaplicy nieco oddalonej od drogi i oczywiście dużo ładniejszej niż poprzednia niska „szopa” rozgrzewająca się do czerwoności od tropikalnego słońca. Inicjatywa chwalebna, należy podziwiać optymizm Bizangończyków, zwłaszcza że proboszcza, czyli mnie, na taką budowę nie stać. Ale na razie to nie szkodzi, ważne że przeżywaliliśmy niedawno piękną uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod nowy kościół. Był obecny nasz arcybiskup Basile Mve Engone, zaprzyjaźnione z Bizango osoby duchowne (różni księża zastępują nas tam czasem podczas dużych świąt), mieszkańcy wioski-osiedla, a nawet prasa i lokalne radio katolickie. Atmosfera była bardzo miła, uroczystość udana, a wmurowanie pierwszego kamienia wzbudziła ogromne zainteresowanie. Sam kamień

był „kamieniem zbiorczym” to znaczy było to kilka kamieni przywiezionych z różnych parafii Libreville oraz z miejsc, z których pochodzą parafianie z Bizango. Miejscowy katechista przywiózł kamyk z rodzinnego Beninu, a ja przedstawiłem, wzbudzający ogólny zachwyt, piękny okrągłak z Warszawy (wiecie jak trudno znaleźć w Warszawie prawdziwy kamyk, wszędzie same kawałki betonu).

Po liturgii miał miejsce uroczysty poczęstunek przed domem jednego z miejscowych notabli, roztawiono stoły i namioty i zgodnie z lokalnym zwyczajem były miejsca honorowe, mniej honorowe i takie zwykłe. Co było na stole? To co zawsze. Gdy idziemy z braćmi na jakieś przyjęcie w Gabonie, po drodze wyliczamy dania, które będą i nigdy się nie mylimy (to trochę jak na polskim weselu, albo rosół albo flaczki). Kuchnia gabońska jest ciekawa i smaczna (im dłużej się jest w Gabonie tym bardziej smakuje), ale przewidywalna. Jest właściwie kilka dań zwyczajowych i koniec, nie ma tradycji eksperymentowania w kuchni. Ostatnio nawet jedna osoba oświadczyła otwarcie: „My, Gabończycy, jemy tylko to, co znamy” i to jest prawda, daremnie zapraszać Gabończyka do restauracji chińskiej czy indyjskiej, spośród wszystkich dań i tak wybierze kurczaka i frytki z dużą ilością majonezu i przyprawą Maggi (rzeczywiście majonez rządzi).

Jeśli chodzi o typowe dania kuchni gabońskiej to jest to: udka kurczaka, ryba lub

dzicyzna (najczęściej jeżozwierz) w jednym z czterech najpopularniejszych sosów: sosie odika, zwanym czekoladowym (nic wspólnego z czekoladą), zrobionym z wysuszonych i startych pestek-orzechów jednego z drzew, następnie jest sos niembwe z wyciśniętego oleju orzechów palmy oleistej, sos arachidowy z orzeszków i wreszcie sos pomidorowy, najczęściej z pomidorów w puszcze. Zapewniam, że wszystkie są bardzo dobre i bardzo afrykańskie. Do mięs podaje się ryż, gotowane banany planteny (nie nadają się do jedzenia bez gotowania lub smażenia) i oczywiście maniok. Maniok jest okropny i zajęło mi półtora roku przyzwyczajanie się do niego, ale teraz lubię. Z maniakiem jest bardzo dużo roboty dlatego jest drogi i wypiera go prosty w przygotowaniu i tańszy ryż.

Ponieważ Afrykańczycy bardzo lubią potrawy gorzkie i nawet naukowo stwierdzono, że rasa czarna potrafi odróżnić dużo więcej odcieni goryczy niż inne, na gabońskim stole nie może zabraknąć różnych gorzkich i gorzko-kwaśnych liści przyrządzonych na

wzór szpinaku, często zmieszanych z wędzoną rybą. Danie świątecznym jest tradycyjnie „konkombri”, czyli twarda szara masa zrobiona z utartych pestek dyni (dyni się nie je, tylko pestki są interesujące) i z wędzonej ryby. Przygotowanie tego pochtania bardzo dużo czasu, ale jest lokalnym rarytatem. W lepszych restauracjach w Libreville podaje się również, jako danie typowo gabońskie, faszerowane kraby, ale na wioskach jest to rzadkie, zwłaszcza tam, gdzie nie ma dostępu do morza. Jeśli chodzi o napoje to dziś króluje Cola i pochodne, ale wciąż bardzo popularne jest robione prywatnie wino palmowe, które z winem nie ma wiele wspólnego, a robione jest z soku palmy zmieszanego z odpowiednią korą drzewa powodującą reakcję i wytwarzanie się specjalnego alkaloidu. Wino palmowe im starsze tym mocniejsze i bardziej gorzkie, pije się je wieczorami przy specjalnych przydrożnych stolikach, pociągając mętny napój ze stoików po wioskach.

Pozdrawiam tropikalnie!

br. Łukasz Woźniak, Essassa



Serafickie Dzieło Pomocy Misjom

skupia osoby, które pragną skutecznie przyczynić się do ewangelizacji narodów, ofiarowując na rzecz misji modlitwy, cierpienia, wyrzeczenia, działalność animacyjną i dary materialne. Założone w Szwajcarii w 1889 roku, w celu wspierania działalności misyjnej za granicą, prowadzonej przez Zakon Braci Mniejszych Kapucynów, istnieje dzisiaj w wielu krajach. Misje, szczególnie te prowadzone wśród pogan i w bardzo młodych wspólnotach chrześcijańskich, są sprawą całego Kościoła powszechnego czyli każdego chrześcijanina. Słowa Pana Jezusa wypowiedziane po Zmartwychwstaniu do uczniów: "Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię!" (Mk 16,15) stanowią testament Jezusa, który obowiązuje nas dopóki jest na świecie ktoś, kto nie miał możliwości usłyszeć Dobrą Nowinę.

Zakon Kapucynów, od początku swego istnienia, wysyłał braci misjonarzy na cały świat, by trwać w wierności wezwaniu Pana Jezusa i naśladować apostołską gorliwość swego Założyciela św. Franciszka z Asyżu. Dziś kapucyni obecni są na wszystkich kontynentach, w wielu krajach misyjnych i w wielu państwach gdzie Kościół na nowo się odradza i umacnia. Dzięki popieraniu powołań miejscowych jest coraz więcej braci kapucynów rodzimego pochodzenia, którzy głoszą Ewangelię swoim rodakom, a także sami stają się misjonarzami w innych krajach.

Serafickie Dzieło Pomocy Misjom jest wyrazem solidarności z kapucyńskimi misjonarzami i z ich trudem niesienia Jezusa na krańce świata. Dzieło to tworzy swoiste zaplecze modlitwy i ofiary, z którego czerpać mogą bracia misjonarze. Oni wszyscy są niezwykle wdzięczni za ten dar towarzyszenia i pomocy, odwiedzając się swoją modlitwą i modlitwą ludzi, wśród których pracują. Warszawska Prowincja Braci Mniejszych

Kapucynów w sposób szczególnie poleca tym, którzy zechcieli włączyć się w Serafickie Dzieło, swoich współpracowników pracujących w Gabonie (Afryka Równikowa) w Ameryce Środkowej i Turcji, a także braci prowadzących dzieło ewangelizacji na Białorusi, na Łotwie, w Szwecji, Wielkiej Brytanii i innych krajach.

Serafickiemu Dziełu Pomocy Misjom patronują: św. Franciszek z Asyżu, św. Antoni z Padwy i św. Fidelis z Sigmaringen – patron misji kapucyńskich. Świętem patronalnym jest Uroczystość Objawienia Pańskiego, czyli Trzech Króli.

Każdy kto wspiera misje kapucyńskie staje się, zarówno za życia jak i po śmierci, uczestnikiem specjalnych łask duchowych. Każdego dnia sprawowane są w kapucyńskich klasztorach Msze św. za Dobrodziejów, raz w miesiącu jest odprawiana Eucharystia za członków Serafickiego Dzieła, o swoich Przyjaciółach pamiętając w codziennej modlitwie bracia misjonarze i ludzie powierzeni ich pasterskiej opiece.

Świat dziś potrzebuje Twojej pomocy – włącz się w naszą akcję dla czynienia lepszym tego świata poprzez ewangelizację narodów. W Serafickie Dzieło Pomocy Misjom możesz włączyć się przysyłając nam swój adres, lub składając ofiarę przekazem pocztowym, albo na konto.

Środki materialne gromadzone przez SDPM przeznaczone są na wsparcie działalności naszych braci misjonarzy, zakup potrzebnych dla nich biletów lotniczych, zapewnienia opieki zdrowotnej, zakup potrzebnych artykułów liturgicznych, dofinansowanie środków transportu dla misjonarzy, oraz realizowanie projektów szczegółowych. Obecnie realizowanych jest kilka takich projektów.

Dokonując wpłaty na konto możesz zaznaczyć na jaki konkretny cel ma zostać przeznaczona ofiara umieszczając dopisek: MISJE KAPUCYŃSKIE, OŚRODEK MEDYCZNY W ES-SASSA, czy inne.

Nr rachunku odbiorcy
03 1240 6292 1111 0000 5019 9015

Odbiorca:
Kapucyni, Prowincja Warszawska
Ul. Kapucyńska 4
00-245 Warszawa

Kwota

Wpłacający:

Tytułem:
MISJE KAPUCYŃSKIE

Prosimy o czytelne wypełnienie przekazu
DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPŁACAJĄCEGO



Oplata:

Nazwa odbiorcy
KAPUCYNI, PROWINCJA WARSZAWSKA

Nazwa odbiorcy cd.
UL. KAPUCYŃSKA 4, 00-245 WARSZAWA

Nr rachunku odbiorcy
03124062921111000050199015

W

P

PLN

W

P

kwota słownie (wpłata) / nr rachunku zleceńdawcy (przelew)

nazwa zleceńdawcy

nazwa zleceńdawcy cd.

kod pocztowy: - miejscowość

Tytułem
MISJE KAPUCYŃSKIE

Oplata:

Pieczęć, data i podpis(y) wpłacającego

Odcinek dla Banku

GABON – WYBÓR NOWEGO PREZYDENTA.

Po kilkumiesięcznej przerwie spowodowanej śmiercią dotychczasowego prezydenta Gabonu, El Hadż Omara Bongo Ondimba, który sprawował rządy przez ostatnie 41 lat, Gabończycy dokonali demokratycznego wyboru jego następcy. Został nim, jak wcześniej przypuszczano, jego syn, Ali Ben Bongo Ondimba. Po ogłoszeniu wyników wyborów w mieście Port Gentil doszło do zamieszek wznieconych przez niezadowoloną opozycję, która oskarża prezydenta o sfalszowanie wyborów. W wyniku zamieszek zginęło kilka osób i wiele sklepów zostało zrabowanych. Obecnie sytuacja w kraju stabilizuje się.



Zmiany personalne

Wostatnim czasie powrócił z trzyletniego pobytu na misji w Gabonie br. Łukasz Woźniak, który objął obecnie obowiązki rektora w naszym kapucyńskim seminarium w Lublinie. Do pracy w Prowincji Wielkiej Brytanii udał się br. Paweł Sierotko, który swój pobyt na angielskiej ziemi rozpoczął od kursu językowego w Erith koło Londynu.

Zakup tódzi w Cocobeach



Bracia pracujący na misji w Cocobeach (Gabon) od lat czekali na tódz, dzięki której mogliby docierać do wiosek leżących przy brzegach rzeki na terenie parafii. Udało się zebrać część ofiar na ten cel w Polsce, za które to ofiary serdecznie dziękujemy. Odpowiednią tódz udało się zakupić przy znacznej pomocy jednego z zaprzyjaźnionych ministrów gabońskich.

Warsztaty Misjologiczne w Lublinie

Wdniach od 31 sierpnia do 4 września br. w naszym klasztorze na Poczekajce w Lublinie odbyły się IX Franciszkańskie Warsztaty Misjologiczne. Są one organizowane co roku dla braci studentów z dziesięciu prowincji franciszkańskich z Polski i jednej z Ukrainy. Tematem tegorocznych Warsztatów Misjologicznych był DIALOG MIĘDZYRELIGIJNY. Bracia franciszkanie z trzech zakonów mogli posłuchać interesujących wykładów dotyczących tej tematyki. Mieli ponadto możliwość spotkania się z misjonarzami pracującymi w takich krajach jak: Boliwia, Papua Nowa Gwinea, Gabon i Turcja, oraz zwiedzić Lublin i Kazimierz Dolny.



Biuletyn Serafickiego
Dzieła Pomocy Misjom
Wydaje: Sekretariat Misyjny
Warszawskiej Prowincji
Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów
ul. Kapucyńska 4,
00-245 Warszawa, Polska
red. br. Piotr Wrotniak OFMCap;
Tel. 600 407 349
e-mail: kapucyni.misje@wp.pl;
www.misje.ofmcap.pl